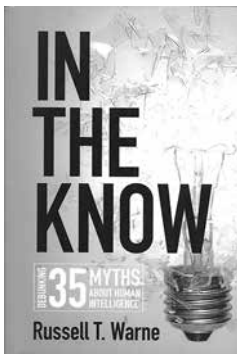


Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Wśród książek, które ostatnio udało mi się przeczytać, zdecydowanie wyróżniam roztrząsania profesora Russella Warne, psychologa z Utah Valley University. Który upatruje w inteligencji, połączonej z wiedzą, źródeł myślenia kreatywnego, a zarazem (bo to jest możliwe) następstw tego myślenia dla procesów komunikacji. Które pozostają w rejestrze istotnych narzędzi bibliotecznych i ważnych dla życia w ogóle. W sumie więc razem współtworzą to, co jest wiedzą.



O INTELIGENCJI [*****]

Russell T. Warne: *In the Know. Debunking 35 Myths about Human Intelligence*. Cambridge: Cambridge University Press, 2020, 418 s. ISBN 978-1-108-71781-6.

Warne skupia się na inteligencji jako głównym składniku zdolności poznawczych. Inteligencja wśród istot żywych najlepiej rozwinięta jest u ludzi i nie do końca wiadomo, dlaczego tak jest. Być może za sprawą zdolności werbalnych, a w konsekwencji później również umiejętności pisanie oraz czytania – narzędzi także bibliotecznych, jednak ostatnio silnie deprecjonowanych, co powinno niepokoić.

Zwłaszcza, że żadne przedmiotowe rozpoznanie nie dojrzało do końca. A nawet nie istnieje spójna, jedna i wspólna definicja inteligencji oraz jej elementów składowych. Mówi się ogólnikowo, że to umiejętność rozwiązywania problemów, albo mentalna zdolność przewidywania przyszłości. Generalnie więc zapewne jest to opanowana sztuka tworzenia sensów, lecz jak wobec tego scharakteryzować wiedzę? A poza tym to przecież także przysposobienie do myślenia

abstrakcyjnego, więc swego rodzaju odrębność inteligencji ogólnej, teoretycznej, od inteligencji praktycznej.

No i właśnie: Warne sygnalizuje możliwość, że istnieją dwie odrębne kategorie inteligencji, a więc dwa osobne systemy myślenia. Funkcjonujący szybko, lecz płytko – np. w odbiorze przekazów cyfrowych albo wizualnych – oraz pogłębiony, ale opóźniony, poniekąd *leniwy*: np. w czytaniu. Dla praktyki bibliotecznej to jest hipoteza fundamentalna, ale Warne – i nie tylko on – wypowiada się o niej sceptycznie. W swoim czasie (2002 r.) taką sugestię lansował¹ Daniel Kahneman, laureat Nagrody Nobla z 2002 r. Rzecz w tym jednak, że nie z psychologii, lecz z ekonomii. Jakkolwiek więc jego sugestie bardzo wsparłyby biblioteczne koncepcje oraz praktyki, potwierdzenia w tej książce jednak nie ma. Tak dalece, że wśród nieprawdopodobnie obfitej bibliografii przedmiotu nie ma żadnej publikacji Kahnemana.

Jest natomiast coś innego. Otóż jeszcze w 1904 r. Charles Spearman zasugerował, że istnieje w umyśle czynnik *g*, coś jak regulator główny procesów, odpowiedzialny za wykonywanie zadań. To miałyby być inteligencja właściwa, generalna, powiązana z innymi czynnikami mentalnymi, stwarzająca również szanse do przewidywania wydarzeń, na ile są do osiągnięcia. Później zaś Broca i Wernicke odkryli, że istnieje w mózgu autonomiczne centrum językowe. No i tak, krok po kroku, dokonana się konstrukcja wizerunku struktury oraz pracy umysłu, co utożsamiono z inteligencją.

Warne sygnalizuje, co udało się na ten temat ustalić przez następnych 100 lat, a czego nadal nie wiadomo. No więc prawdopodobnie znaczna jest siła genów, dziedziczenia, lecz wpływy celowe też swoje znaczenie mają. Złożone otoczenie bezpośrednio, ale też oddziaływanie elektroniki, podobno wymuszają intensywniejsze myślenie. Ale akurat co do tego znawcy są sceptyczni. Ponieważ programy rozwijające (podobno) inteligencję mają odniesienia do pamięci roboczej, ale nie ma tam konkretnych dyrektyw, jak należałoby cokolwiek robić. Jest jeszcze dopowiedź, że osoby z dobrym samopoczuciem sygnalizują wyższą inteligencję, jednak i to nie jest żaden pewnik ani racjonalna opinia.

Przez identyczne oddziaływanie na wszystkich nie da się ich zrównać w inteligencji, ani uzyskać takiego samego wskaźnika IQ. Za dużo bowiem czynników oddziałuje w różnych kierunkach. Autor przywołuje przykład – ale przesadza! – powojennej odbudowy Warszawy, gdzie wymieszana pod każdym względem społeczność poddano takim samym impresjom i wmontowano w *fotograficznie* identyczne budownictwo. Lecz przecież nie wszyscy stali się tacy sami.

Ludzie różnią się aktywnością psychomotoryczną, kreatywnością myślenia bądź zdolnościami artystycznymi. Jeżeli do dziesiątego roku życia nie ujawnią jakichkolwiek indywidualnych talentów, to później na kreowanie własnej odrębności może być z późno.

Tak samo jest w uczeniu się. Występują różnice genealogiczne, osobowe, motywacyjne oraz dyktowane właśnie przez odmienności intelektualne. Ludzie różnią się także poznawczo. To są odrębności – mówiąc najogólniej – w inteligencji, które z kolei różnicują efekty w kształceniu. Największe różnice występują w umiejętności czytania. A co na to biblioteki?

¹ D. Kahneman: *Thinking, Fast and Slow*. New York: Farrar, Straus and Giroux, 2011.

Czy różnice edukacyjne można regulować? Warne uważa, że w niewielkim stopniu, ale z takiej opinii nie wynika nic. Rzecz w tym, że wszędzie na świecie programy kształcenia są dla wszystkich niemal identyczne. Na różnicowanie nie zgadza się prawie nikt, uważając że to dyskryminacja. Czasem można mówić o różnicach w wykonawstwie – wykładowcy i nauczyciele są wszak rozmaici – ale również rzadkich i podbudowanych emocjonalnie i realizowanych indywidualnie, np. w trybie korepetycji. Ale to nie są rozwiązania systemowe.

Problem główny polega zaś na tym, że inteligencja różnicuje życie, nie tylko zresztą w sensie pozytywnym. Osoby z wysokim IQ także niekorzystnym wpływom podlegają silniej. Chociaż oczywiście generalnie lepiej radzą sobie w pracy, w szkole i w ogóle w życiu. Są czynności wysokostandardowe – ale też wysoko płatne – wymagające wysokiej inteligencji. No i temu właśnie przygląda się Warne oraz inni psychologowie i nie-psychologowie, bo każdy chciałby żyć i zarabiać lepiej.

Zmierzając do sedna: czy faktycznie można wpływać na inteligencję oraz czy biblioteki mogą mieć w tym jakikolwiek udział? Obawiam się, że konkretnej odpowiedzi nie ma. Ale to też jest jakaś odpowiedź.

Warne uważa, że zróżnicowanie inteligencji może być wywołane przez czynniki naturalne – w zasadzie demograficzne i w stopniu śladowym. Konkretnie odwołuje się do uwarunkowań rasowo-etnicznych oraz do płci. Te pierwsze akurat w Polsce są właściwie niedostrzegalne. Natomiast w skali światowej podobno najwyższym wskaźnikiem IQ charakteryzują się osoby z Azji Wschodniej, a potem z Europy, najniższym zaś – z Afryki. W Europie najniższy wskaźnik IQ podobno cechuje Hiszpanów. Ale z tego nie wynika absolutnie nic.

Silniej dostrzegalne są różnice według płci. Autor podkreśla przewagę kobiet w szybkości reakcji, w funkcjonowaniu werbalnym, oraz w czytaniu – ale nie wiem, czy w stopniu dla bibliotekarstwa znaczącym. Kobiety są też zwykle zainteresowane bogatszym rejestrem problemów oraz chętniej współpracują. Z kolei mężczyźni przeważają w nastawieniach wizualno-przestrzennych, chętniej mają się przedsięwzięć matematycznych (zmatematyzowanych) i są bardziej skłonni do rywalizacji. Jednak wszystkie te różnice są w istocie znikome i nawet jeżeli mają na poziom inteligencji jakikolwiek wpływ, to Warne nie kreuje złudzeń: nikły lub mniejszy niż nikły.

Tak jak i przedsięwzięcia celowo zmierzające do kształtowania czynnika „g”. Co byłoby pożądane, no bo w końcu osiągnięcia życiowe mają związek z inteligencją. Poprzez dobre wybory – jeżeli zna się własne/cudze ograniczenia oraz możliwości, za sprawą stosownego przygotowania dałoby się osiągnąć możliwie pożądany stopień inteligencji, a zatem i dobry standard życia. W rzeczywistości bowiem jest tak, że jedni potrafią zrozumieć to, a inni tamto i wobec tego trzeba natrafić na swoje tamto. Lecz Warne uważa, że to jest zamiar trudny i udaje się mało komu. A czy mogą w tym pomóc biblioteki? Takiej odpowiedzi nie ma. Ewentualnie w ogólnych ramach, w jakich ma miejsce podnoszenie wartości czynnika g, wskaźnika IQ, oraz poprawa inteligencji ogólnej. Ale co to znaczy? Warne jest ostrożny: sygnalizuje tylko, że taka możliwość istnieje. Dobrze, że przynajmniej tyle.

Ludzie różnią się inteligencją, za czym kryje się wysoka lub niewysoka sprawność czynnika g. Z tego wynika z kolei taka lub inna kreatywność: oryginalność,

zdolność tworzenia rozmaitych i nowych pomysłów w różnych zakresach. Ale wciąż nie wiadomo w pełni, jak poprawiać ten czynnik *g* i ulepszać wskaźnik IQ. Jasne jest tylko, że ludzie różnią się od siebie stanem inteligencji. A całe postępowanie edukacyjne oraz intelektualizujące jest takie, jakbyśmy pod każdym względem intelektualnym byli jednakowi.



CO DALEJ [***]

Technology, Change and the Academic Library. Case Studies, Trends and Reflections. Ed. Jeremy Atkinson. Kidlington: Chandos Publishing, 2020, 215 s. ISBN 978-0-12-822807-4.

Taki może być również mniej lub bardziej fragmentaryczny rzut oka na akademicką publiczność biblioteczną, przez pryzmat tego, co robi oraz czego oczekuje w bibliotekach uczelnianych. I co akurat podlega zasadniczym zmianom. No i właśnie do tych zmian odnosi się – chwilami ciekawie, a niekiedy mniej – Jeremy Atkinson w sygnalizowanym tu tomie zbiorowym. On sam popracował w rozmaitych angielskich bibliotekach uniwersyteckich, a ostatnio utknął na uniwersytecie w Cardiff. W tym zbiorze zamieścił trzy publikacje własne, w tym inauguracyjną oraz finalną, a także przedstawił jeszcze dziesięć wypowiedzi indywidualnych lub wieloautorskich – z Anglii, Australii, Irlandii oraz Walii. Przeszrenny przegląd opinii jest zatem rozległy.

Przedmiotowy natomiast już w znacznie mniejszej skali. Mimo że pisze się tam o bogatym rejestrze zmian, które występują teraz w bibliotekarstwie akademickim, oraz o licznych tego przyczynach. Atkinson sugeruje, że z jednej strony takie są właśnie oczekiwania użytkowników bibliotek akademickich oraz że ma miejsce redukcja zainteresowania bibliotekami w sensie instytucji. Z drugiej zaś – tak napisał – rośnie nastawienie na samodzielność w korzystaniu z bibliotek i na ograniczenie bibliotecznego mediacji. Skąd taka opinia – diabli widzą.

Do tego jeszcze dorzucił Atkinson wzmożone podobno nastawienie (znowu: gdzie dowody?) na otwarty dostęp i na nowe technologie komunikacyjne. Nie wykluczam poglądów, ale wolałbym żeby jakieś postępowanie dowodowe było. A tu nic! W jego przeświadczeniu swoje znaczenie miały też zmienione formy pracy uczelni oraz redukcje finansowania bibliotek akademickich ze strony szkół wyższych. A ostatnio – dodatkowo: inwazja koronawirusa.

O autorską współpracę poprosił Atkinson wielu czynnych bibliotekarzy akademickich. Z Anglii, Australii, Walii oraz Irlandii. Wyszło tego razem dziesięć indywidualnych i zbiorowych tekstów. Wszystkim kreatorom zasugerował zaś jednolity, trójfazowy schemat wypowiedzi – co miało swój sens – mianowicie de-skrypcję: co jest grane, analizę: no to co, oraz syntezę: zatem co.

Drugi z tekstów własnych Atkinsona, zamieszczony w środku tomu, zawiera rozwinięcie sugestii wstępnych. No więc jest tam opinia, że technologia ma być wsparciem praktyki, a nie dyktatorką – i w takim kontekście bibliotekarze powinni skłaniać się ku zarządzaniu zasobami oraz do propagowania treści, nie ulegając naciskom mechanizacji; jakkolwiek umiejętności obsługi urządzeń są

bezwzględnie konieczne. Jednak równie ważne, lub może ważniejsze, jest nastawienie na otwartą współpracę z innymi oraz na wymianę opinii.

Natomiast digitalizacja komunikacji faktycznie ma miejsce i nie wszyscy sobie z nią radzą. Wobec tego nieodzowne jest cyfrowe przysposobienie, a szerzej: wprowadzenie mieszane, hybrydowe, realizowane (jeżeli się da) z udziałem bibliotek. Ponadto Atkinson lansuje koncepcję korzystania na całych kampusach – więc nie tylko w akademickich bibliotekach – z własnych, indywidualnych, mobilnych urządzeń użytkowników. Co tu i ówdzie już zaczyna być wprowadzane pod kryptonimem BYOD = *Bring Your Own Device*. Są liczne opinie, że to jest rozwiązanie wysoce przyjazne.

Natomiast konkluzje tegoż autora, zapisane w rozdziale finalnym, potraktowałbym z dużą rezerwą. Píše bowiem oto o poszerzeniu obszaru bibliotecznej oferty oraz o wzroście autorytetu bibliotek, podczas gdy w rzeczywistości obserwuje się akurat coś wyraźnie przeciwnego. Sugestią na czasie jest niby też zalecenia kontynuowania technologizacji bibliotek, ale to powoduje dramatyczny wzrost kosztów utrzymania, od czego uczelnie próbują wyłgać się wszędzie na wszelkie możliwe sposoby. Tak więc trudno to wszystko pozbierać razem do kupy.

Oraz na to wszystko nakłada się jeszcze zawołanie, żeby w bibliotekarstwie akademickim zaczęło dominować nastawienie na usługi (tu zaś potrzebna technicyzacja!), a nie na zasoby. To nieporozumienie, także dlatego, że nie się oddzielić jednego od drugiego. Jakkolwiek oczywiście korzystanie to sama istota bibliotekarstwa.

A z tym najlepiej radzą sobie użytkownicy odpowiednio przygotowani. Innych – jak sygnalizują bibliotekarze z uniwersytetu w Portsmouth – trzeba wspierać nawet w detalach.

Ale jest już system sygnalizacyjny, oparty na regułach GPS, który po zamontowaniu wskazuje gdzie co jest na półkach; teraz jest już powiązany z katalogiem. A na początku wskazywano wyłącznie zakresy przedmiotowe i tylko kolorami. Dzisiaj to wygląda na nieomal pełnoprawny system automatyczny, z postępującą weryfikacją w bibliotece uniwersytetu w irlandzkim Limerick. Warto jeszcze dopowiedzieć, że ma miejsce wprowadzanie również innych, nowych technologii wyszukiwawczych, jak choćby w uniwersyteckiej bibliotece w Sheffield, gdzie wobec tego zastosowano możliwość całodobowej obsługi użytkowników. Jakkolwiek osobiście powstrzymam się od euforii, powiązanej z szansą korzystania z usług biblioteki o godz. 23.47. Natomiast podobno w tymże Sheffield nie doceniono oporów personelu bibliotecznego w stosunku do implementowanych innowacji. Bo na dobrą sprawę, o tej 23.47 ktoś jednak w bibliotece musi być. Niechęć wygląda więc na uzasadnioną i zapewne nie tylko tam.

Według sygnałów z uniwersyteckiej biblioteki w Adelaide (Australia), publiczność preferuje obecnie zasoby digitalne – każda biblioteka ma na ten temat własną opinię – co ułatwia przeszukiwanie oferty. Ale hasło, jakoby swoboda wyboru była obecnie rozleglejsza, wydaje mi się bezzasadne. Tamtejsi bibliotekarze twierdzą, że teraz sprawność a nie stabilność wyznacza podstawę funkcjonowania biblioteki. To wygląda na jakiś mit.

Jest też doniesienie z Cardiff o stworzeniu systemowej współpracy 88 bibliotek akademickich. Fuzja jest zatem pokaźna, lecz zreferowano to mało klarownie.

Trudno nawet określić granice – zapewne ogólnowalijskie, bowiem samo miasto nie jest na tyle duże, żeby było tam aż tyle uczelnianych bibliotek. W doniesieniu podkreśla się możliwość korzystania przez użytkowników z własnych urządzeń mobilnych, co miało podobno poprawić obieg periodyków o 10%, a książek nawet o 50%. Natomiast w sumie sygnalizuje się wyraźną redukcję obiegu książek drukowanych.

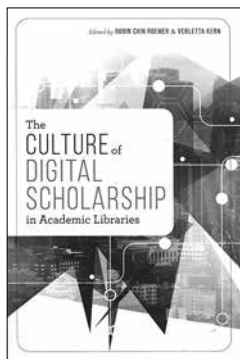
Oraz jest w tym tomie sygnał funkcjonowania biblioteki uniwersyteckiej w Leeds. W którym podkreśla się użyteczność przestrzeni, nastawionych na uczenie się na miejscu, a także potrzebę oddzielenia katalogu książek drukowanych od katalogu e-książek. Tamtejsi bibliotekarze chwalać sobie ponadto przedmiotowe statystyki korzystania z zasobów, bo to kierkuje dalsze nabytki. Lecz akurat co do tego mam odczucia mieszane.

Z kręgu rozwiązań systemowych pochodzi doniesienie z uniwersyteckiej biblioteki w australijskim Perth, która w trybie całkowitej cyfryzacji powiązała gromadzenie, opracowanie oraz udostępnianie. System nazywa się Leganto i oprócz zadań ogólnych (jak sygnalizowałem) zajmuje się również weryfikacją cytowań. Autorzy nie zdradzają jednak szczegółów, jak to wszystko funkcjonuje w całości.

Ta sama biblioteka (oraz dwie inne) donosi ponadto, jak udały się organizowane dla studentów szkolenia kursowe. A wygląda na to, że to teraz jest taki nowy trend biblioteczny.

W Perth dostrzeżono sporo pomyłek w użytkowniczych postępowaniach i wobec tego zaproponowano kursy, wdrażające do wyszukiwania materiałów naukowych, a także – adaptujące do edukacyjnej i naukowej pracy w zespołach. Do bibliotecznej digitalizacji miały podobno przysposabiać też kursy w uniwersyteckiej bibliotece w York. Przez organizatorów ocenione wysoko, ale potem okazało się, że pozbawione szans na realizację powtórna. No więc? Oraz jest jeszcze sygnał kursu z biblioteki uniwersyteckiej w Newcastle (Australia), jak przekształcać obiekty fizyczne w digitalne, ale to już jest umiejętność wyższego stopnia oraz wymaga aparatury.

Z całego zatem rejestru innowacji bibliotecznych, najbardziej zachęcająco wyglądają wzbogacone lub zmienione oferty usługowe. Lecz trudno powiedzieć, żeby w pełni zweryfikowane i satysfakcjonujące. Aprobata samych autorów wypowiedzi wydaje się tu i ówdzie trochę naciągana.



DIGITALNY OBYWATEL [***]

The Culture of Digital Scholarship in Academic Libraries. Ed. Robin Chin Roemer, Verletta Kern. Chicago: ALA Editions, 2019, 240 s. ISBN 978-0-8389-1897-5.

O ile ten poprzedni anglo-australijski tom skupiał się głównie na zdigitalizowanych usługach bibliotecznych, a w mniejszym stopniu także na bibliotecznych do nich przysposobieniu (kursy), to z kolei opracowanie amerykańskie – też wieloautorskie (12 tekstów), ale z biblioteki jednego uniwersytetu, mianowicie w Waszyngtonie – traktuje o wielu różnych aspektach zmieniającego się teraz funkcjo-

nowania akademickich bibliotek. Nie mam pewności, czy to dobrze, podejście bowiem jest powierzchowne. Ale tak postanowili redaktorzy całości.

Szefowa tego przedsięwzięcia, R. Roemer, zaczęła od brutalnej oczywistości. Że mianowicie czasy są takie, iż biblioteki muszą dostosować się do digitalizacji komunikacji oraz nauki. Bez tego wypadnie pakować manatki. Nie żeby należało piśmiennictwo drukowane kompletnie zesłać już (to kiedy?) na makulaturę, ale nie utrzyma bibliotekarstwa, jeżeli pozostanie tam jako jedyne. Co zresztą stwierdzam z ogromnym smutkiem.

Od strony udziału w komunikacji: ćwierć wieku temu John Katz wprowadził pojęcie digitalnego obywatela. To ktoś, kto opanował cyfrowe formuły nadawania oraz odbioru. W znacznym stopniu to są już dzisiaj wszyscy studenci, zwłaszcza młodszych roczników. Jeżeli więc mieliby korzystać z ofert bibliotecznych, to głównie w tym właśnie trybie. A sami z kolei mogą zgłaszać się do sieci przez biblioteki, jako autorzy blogów, ofert dyskusyjnych, propozycji refleksyjnych, oraz innych materiałów. Ma miejsce – a w każdym razie może mieć – sieciowe spotkanie tych właśnie studentów oraz pracowników nauki. Zaś pośredniczący udział bibliotekarzy może dotyczyć rozmaitych treści; także tych, na których się nie znają. No bo mają jedynie umożliwić lub ułatwić pośrednictwo.

Nie twierdzę, że brzmi to najlepiej, ale to nie jest moje sformułowanie. Roemer obstaje przy pośrednictwie ogólnym. Tymczasem ja upierałbym się, że nieznanomość treści – zwłaszcza w formule cyfrowej – poważnie komplikuje pośredniczenie. Ale oczywiście kto napisał/powiedział, że musi być łatwo?

Nowe nośniki oraz nowe zakresy tematyczne musiały zmienić reguły gromadzenia zasobów – jeżeli jeszcze jakieś gromadzenie istnieje. W obecnych okolicznościach w zasadzie możliwie wszystko/dużo powinno być dla możliwie wszystkich/wielu. Jakkolwiek nie wszędzie rzeczywiście jednakowo wszystkim wszystko wolno.

O zakresach oraz o długotrwałości gromadzenia, w odniesieniu do materiałów tradycyjnych i nowych, rozstrzyga aktywność biblioteki, w konsultacjach ze znawcami. W wersji biblioteki waszyngtońskiej zachodzi też powinność publikowania online materiałów uniwersytetu macierzystego – na podobieństwo uczelnianego wydawnictwa. Ale wszystkie te reguły zostały wyłożone wyjątkowo mętnie.

Dość długi i stosunkowo ciekawy wywód dotyczy w tym tomie zjawiska danych oraz ich promocji. Czym są dane, jak konsultować gospodarowanie danymi z kadrą specjalistów jak ewentualnie brać udział w badaniach, oraz jak szykować stosowne usługi. W tekście jest jednoznaczna i stanowcza zachęta do bibliotecznej promocji danych, bo inaczej nikt o bibliotece nie zechce pamiętać. No i trzeba to robić na różnych platformach, chociaż najskuteczniejsze są relacje osobiste, *na żywo*. Także ewentualnie w zespołach, generowanych przez biblioteki.

Biblioteka uniwersytetu waszyngtońskiego chwali się poza tym, że posiada wyodrębnione, ogólnouniwersyteckie centrum medialne, a tam – materiały muzyczne, filmy, wideo, oraz gry. W sumie ma miejsce kombinacja zasobów analogowych oraz digitalnych. Ale zreferowane jest to nieprawdopodobnie drętwo.

Pojawiają się pytania o formy bibliotecznego wsparcia uczelni przez bibliotekę. Otóż objaśnienia są enigmatyczne. Podobno 40% studentów oraz pracowników nauki wykorzystuje biblioteczne zasoby cyfrowe, ale wielu (!) z nich

sygnalizuje trudności w tym zakresie i nie wiadomo jakie. W każdym razie postanowiono przystąpić w bibliotece do digitalnego przysposobienia w postaci specjalistycznych kursów, z czego ostatecznie utworzono w wymiarze ogólnym *School of Computer Science*. To z kolei miało, podobno, ograniczyć studencką i naukową kooperację interdyscyplinarną, ale autorka tej relacji nie wyjaśnia na czym to polega, ani jak do takiej konkluzji doszła.

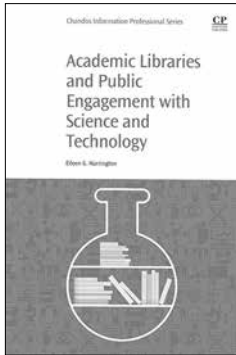
Jest też odrębna charakterystyka oferty wspierającej, opartej na skonkretyzowanym doradztwie weryfikacyjnym, czy do przygotowanej publikacji zostały dobrane właściwe dla tematu dane. A także: czy można ich używać w otwartym obiegu, bo jednak jakieś restrykcje licencyjne istnieją. I to biblioteki powinny o nich wiedzieć. W tym zakresie także pojawiają się propozycje ćwiczeń, kursów, albo innych form przygotowań zbiorowych (to jest teraz jakaś mania), ale wątpliwości jest o wiele więcej, aniżeli pewników.

Z kolei kreatorka całego tomu, Robin Roemer, eksponuje korzyści ze wskaźnika Impact Factor – z taką samą emfazą, jak to ma miejsce u nas. To ma być określenie siły prestiżu rozmaitych czasopism naukowych, którym te wskaźniki przypisano, tyle że teraz ma to miejsce w kontekście sieciowym. No i różnice wobec dawnych parametrów bibliometrycznych są zdecydowane. Ale dopowiedzmy, że wszystko to akurat nie różni się od tego, co ma miejsce u nas. My również preferujemy Science Citation Index oraz Web of Science. No i wszystko to razem, tak czy inaczej, radykalnie ułatwia cytowania.

Jest w tym tomie także sygnał funkcjonowania na uniwersytecie waszyngtońskim specjalnego ośrodka digitalnego pod nazwą *Story Center*, gdzie instaluje się fabularne opowieści cyfrowe, również wideo. Wejście kreatywne oraz odbiorcze jest dla każdego. Intencją stanowi – podobno – ułatwienie adaptacji do digitalnych form komunikacji. Czy ja wiem...? Ale ja jestem starej daty.

Jeden z ważniejszych (choć fatalnie napisany) tekstów charakteryzuje współpracę uniwersyteckich oraz publicznych bibliotek w Waszyngtonie z miastem jako takim, w całkowicie otwartym dostępie. Ma to być wsparcie dla miasta oraz dla regionu tym, co w bibliotekach jest i może być postrzegane jako użyteczne. To są zwłaszcza niektóre opracowania specjalistów, a także wypracowania studenckie, powiązane z problematyką lokalną. Mogłoby to owocować postrzeganiem bibliotek jako użytecznych, a także zespoleniem bibliotecznych wysiłków. Jednak zaangażowany w ten projekt personel jest zbyt śladowy, żeby dało się osiągnąć jakiegokolwiek znaczące rezultaty. W kręgu finalnych konkluzji tej książki pozostaje sugestia wsparcia cyfrowej edukacji, do czego biblioteki nadają się najbardziej, ciągle jeszcze za sprawą zasobów – oraz są miejscem stosownym. Teraz dodatkowo za sprawą wykorzystywania sieci – bo z łatwym dostępem do sieciowych opinii oraz z możliwością elektronicznej edukacji: kursów i ćwiczeń. Jest też sugestia, żeby w tym trybie wspierać pracowników nauki, na ile to możliwe, a wobec całej publiczności proponować oferty interdyscyplinarne. Byle tylko byli chętni do udziału.

Tymczasem muszę przyznać, że pomimo zróżnicowania ofert brzmi to wszystko drętwo. Mamy zatem kłopot. Albo rozwiniemy jakieś rzeczywiście świeże i racjonalne propozycje biblioteczne, albo dla egzystencji bibliotek zabraknie uzasadnienia. W tym tomie ono jest enigmatyczne, ale w innych też. Digitalny obywatel nie jest w pełni obecny.



PODWALINY WIEDZY NAUKOWEJ [**]

Eileen G. Harrington: *Academic Libraries and Public Engagement With Science and Technology*. Kidlington: Chandos Publishing, 2019, 204 s. ISBN 978-0-08-102124-8.

W tych okolicznościach, nasze profesjonalne i naukowe roztrząsania nieuchronnie koncentrują się wokół fundamentalnego tematu dalszego trwania instytucji oraz zawodu. Uda się czy nie? Będziemy jak latarnicy, bednarze albo cyrulicy?

No i takie też jest piśmiennictwo zawodowe, naukowe, publicystyczne. Na jedno kopyto, w identycznie zainfekowanej tonacji. To nie są lektury, równie frapujące jak opowieści o Jamesie Bondzie, natomiast dotyczą tego, czym się Państwo zajmujecie. Dzisiaj, a miejmy nadzieję, że jutro też. Ja to tylko usiłuję pozbierać do kupy i wybiórczo zreferować, mając świadomość, że często grzęznę w nudzie.

Zresztą bywa jeszcze gorzej, kiedy poziom absolutnie żałosny odstaje od wszystkiego, co w ogóle można poziomem określić. Ale o tym w następnym omówieniu.

W tym tomie natomiast autorka przekonuje, że ludzie mają do nauki zaufanie, które mimo upływu czasu nie słabnie; oby miała rację. Na tym opiera się postęp, bo to zaufanie wpływa na przeświadczenia ideologiczne, egzystencjalne, oraz religijne. Przynajmniej tak ona to widzi. A Eileen Harrington to wicedyrektor kompleksu bibliotek uniwersyteckich Shady Grove w stanie Maryland i na doświadczeniach tego zespołu bibliotecznego opiera swoją koncepcję powinności bibliotek akademickich. W streszczeniu: wspierać naukę i upowszechniać, na ile się da. Slogan? Już o tym pisałem.

Potoczny sens tej wypowiedzi wyraża kryptonim STEM: science, technology, engineering, mathematic. Bardzo to jednostronne – uważam – a jako humanista powiem nawet, że kompletna bzdura, ale trudno kopać się z koniem. No bo postanowiono tutaj, że osoby jakoś do nauki przyfastrygowane, powinny coś wiedzieć i to *coś* taką właśnie ma strukturę. A gdzie indziej i w oczach innych autorów? Tym bardziej, że nawet w tym tekście napisano, że studenci są kiepsko odcytani – w ogóle, więc w różnych zakresach – i muszą przechodzić intensywne kursy wstępne, a to same studia mocno opóźnia. No to gdzie te podwaliny wiedzy naukowej oraz zaufanie do nauki?

Jako sygnał postępu naukowych zainteresowań autorka podaje, że psychologią w 73% są zainteresowane kobiety, a naukami o zdrowiu – w 42%. No i co z tego? Nawet nie wiadomo co to za odsetki. To bardzo kiepsko napisany tekst.

Natomiast jest prawdą, że w nauce ma obecnie miejsce odejście od przekazu jednokierunkowego w stronę dialogu oraz dyskusji, także jeśli można: z wykorzystaniem sieci. Wtedy biblioteki okazują się użyteczne, mogą bowiem zadbać o multidyscyplinarny charakter wymiany zdań i o zróżnicowany udział publiczności, zwłaszcza kiedy zaangażuje w te procesy również biblioteki publiczne.

Ale na to wszystko razem potrzeba znacznie więcej środków. Trzeba o nie intensywnie zabiegać, a także znać się na technologii, bo nie wszystko co jest do kupienia, musi być przydatne. Autorka przyznaje, że na środki techniczne prze-

rzuca się środki, pierwotnie przeznaczone na książki drukowane. Tego właśnie się obawiałem i przypuszczam, że to jest proceder powszechny.

W tekście pojawił się sygnał, że w promocji tego, co nowe (czyli?) można liczyć na pomoc studentów. Ale nie napisano: na jaką, ani jak realizowaną, więc to raczej lipa. Sloganiarstwo, zresztą jedno z wielu. Już bardziej wiarygodnie brzmi opowieść o relacjach ze szkołami – w trybie grupowego wprowadzania uczniów przez uczelniane biblioteki do pracy umysłowej.

Jest poza tym jeszcze wiele sloganów, które autorka serwuje bez skrępowania. Pisząc, że nauka opiera się na wiedzy już zgromadzonej, którą trzeba wzbogacać o nowe obserwacje, oraz decydować gdzie i jak jej używać. A zaś inny slogan sugeruje, że istnieje łączność pomiędzy treściami naukowymi oraz informacyjnymi, i trzeba je inspirować, pielęgnować, oraz postrzegać przez całe życie. No tak...

Harrington jest zdania, że biblioteki (tam, gdzie pracuje, jest ich kilka) mogą stać się sercem kampusów, oferując rozległe przestrzenie dla wszystkich. Ja podobną szansę upatruję dla dawnych hal targowych. Autorka, z nieznanых przyczyn, preferuje krótkoterminowe prelekcje. U nich funkcjonuje *Science Study Break* w realizacyjnych wymiarach sesji godzinnych. A uczestniczą (podobno) w tym zarówno studenci, jak i mieszkańcy. Autorka uważa, że to zwiększa zasięg, wzbogaca tematykę oferty, oraz intensyfikuje uwagę.

Ludzie zajmują się nauką, nawet jeśli nie są do niej przypisani. Zbierają dane, formułują pytania, kreują własne hipotezy. Z kolei często rozwiązania naukowe przydają się w środowisku własnym. A bywa i tak, że potoczne myślenie akurat wspiera naukę. Dlatego ma znaczenie, że w sieci pojawia się teraz grupa znawców-praktyków, którzy z czasem opanowują wiedzę, a w każdym razie są na nią nastawieni. Biblioteki mogą im pomóc w wyborze zakresu, w zebraniu danych, w pomiarze efektów rozpoznania, a także w doborze użytecznych czasopism oraz nawet w utworzeniu wyspecjalizowanego zespołu.

W świecie danych pisze się i mówi przede wszystkim o MEGADANYCH (Big Data). Te niewielkie także istnieją, ale nikną pośród nich, mimo że dla potrzeb indywidualnych też bywają użyteczne. Otóż biblioteki mogą je przejąć, przechować i dostarczyć do użytku. Czasami wystarczy je po prostu zlokalizować i w tym biblioteki też bywają pomocne. Nawet jeżeli są przejmowane z internetu, to potrzebna jest selekcja oraz – nierzadko – komentarz. Właśnie biblioteczny.

Dla skuteczniejszej promocji oraz efektywniejszego udostępniania zasobów, od 20 lat funkcjonuje system międzybiblioteczny, dzisiaj nazywany Open Access i biblioteki akademickie odgrywają w nim rolę fundamentalną. Formy są trzy. Open Content: różne treści w darmowym i swobodnym użytkowaniu. Open Process: procesy naukowe w prezentacji publicznej. Oraz Open Infrastructure: środowisko technologiczne dla badań i edukacji.

To nie jest całkowita nowość. Już raczej mocniejsze zaakcentowanie otwarcia nauki, naukowej współpracy oraz dzielenia się rezultatami naukowych dociekań. A natomiast sprzeciw wobec nadmiaru sekretności. Łatwiejsze powinno być wykorzystywanie wyników badań i biblioteki – szczególnie akademickie – mają temu sprzyjać.

W tamtejszym uniwersytecie przyjęto, że niektóre efekty naukowych refleksji trafiają do periodyków własnych, wydawanych hybrydowo, więc zarówno cyfrowo, w sieci, jak i w trybie drukowanym. A zaś edytorstwo jako całość jest tam

teraz powinnością bibliotek. Widać więc, że wszyscy miotają się teraz w rozmaite strony, szukając rozwiązań możliwie racjonalnych.

Intencja jest taka, żeby biblioteki pomagały w tworzeniu podwalin pod wiedzę naukową, z łatwym do niej, darmowym i możliwie powszechnym dostępem. Ta książka miała podpowiedzieć, jak to zrobić. Ale za dużo w niej chaosu, uproszczeń oraz opowieści niemal fabularnych.

Obydwa sygnalizowane tu tomy wieloautorskie są pod tym względem znacznie bardziej zdyscyplinowane i merytorycznie głębiej przemyślane. Natomiast wszystkie razem układają się w sygnał, że bibliotekarze intensywnie zastanawiają się, co i jak zrobić, żeby biblioteki nie wypadły całkowicie z kursu. Jednak przemyślenia nie są jednoznaczne. Może będą, jeżeli uda się stworzyć solidniejsze podwaliny pod otwartą wiedzę naukową?



O EDYTORSTWIE [*]

Skorinowskije cztienija – 2019: soremiennyje tendenciji razwitiia izdatielskawo diela. Mińsk: Biełoruskij gosudarstwiennyj technologiczeskij uniwersytet, 2019, 307 s. ISBN 978-985-530-803-5.

Corocznie Politechnika w Mińsku (Uniwersytet Techniczny) – przykładem rosyjskim – organizuje konferencję międzynarodową, powiązaną z bibliotekarstwem i twierdzi, że ma charakter naukowy. Później zaś wygłoszone referaty publikuje w postkonferencyjnym tomie. Niektóre z nich sygnalizowałem; wszystkie były wyjątkowo marne, ale ten ostatni bije wszelkie rekordy słabości. Jest poświęcony współczesnemu edytorstwu w wersji jak je widzi tamtejsza Katedra Edytorstwa. Jedyna taka na Białorusi – co podkreśla się w tym tomie wielokrotnie. Może i jedyna, ale moim zdaniem: o tę jedną jest chyba akurat za dużo.

Tom jest wieloautorski i tak jak tam jest w zwyczaju, w publikacji honoruje zarówno język białoruski, jak również rosyjski. W jaki sposób oni chcą tam dojść do pełnej suwerenności? Lecz na tym nie koniec. Dwa teksty są bowiem w języku polskim i nie zaszkodziłoby zapytać, kto je zrozumiał, oprócz mnie. A w wersji werbalnej? Ponadto zaś w tomie – na samej konferencji zapewne też – pięć wypowiedzi jest w języku... chińskim. Trudno taki pomysł wykonawczy określić inaczej aniżeli idiotyczny.

W tym kontekście jeszcze jedno dziadostwo, które tam jest irytuje nieco mniej. To zszycie. Tego tomu nie da się czytać bez rozparcelowania na czynniki pierwsze, więc na pojedyncze kartki. Pod firmą Katedry Edytorstwa? W sumie zatem to jest tak, jakby kreatorzy tego dziwactwa nigdy solidnej książki nie widzieli na własne oczy.

Ktoś mógłby zapytać: co nas to obchodzi? Wystarczy, że po sąsiedzku zauważyliśmy produkt poniżej standardów i już. Chcą Białorusini produkować pseudonaukowe dyrzymały, to w końcu mają takie prawo. Ale ten akurat tom częściowo kompromituje również nas. Jako bowiem współpatron i współkooperant tej inicjatywy występuje Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zaś dr hab.

Katarzyna Krzak-Weiss, prof. UAM, była członkiem komitetu organizacyjnego, zatem musiała wiedzieć w co się pakuje. No bo jeśli nawet nie miała wpływu na rejestr autorów/prelegentów (to w większości studenci), to jednak insygnia uniwersytetu poznańskiego z całą pewnością należało usunąć, bo to wstyd. Tak jak i udział w takim przedsięwzięciu.

Spośród polskich uczestników wypowiedź prof. Hojdisa przedstawia się merytorycznie interesująco. Zwraca bowiem uwagę na rozmaite warianty aktualnej digitalizacji procesów przygotowawczych w druku oraz w edytorstwie, co umożliwiło przeniesienie znacznej części przaz tego etapu z hal wykonawczych do redakcji. Wyeliminowano tym samym liczne formy rzemieślnicze. Dzięki temu w tej chwili to jest w znacznej mierze jednolity już proces wykonawczy, częściowo nawet realizowany zdalnie. A w ujęciu ogólnym zdecydowanie szybszy.

W radykalnie mniejszym stopniu do zakresu tomu oraz konferencji przystaje retrospektywny tekst prof. Krzak-Weiss. Lansujący głównie dawną dewizę edytorską: żeby mianowicie wydawanie książek odbywało się bez pośpiechu. Dzisiaj to chyba zła dyrektywa.

Jest w tym tomie jeszcze jeden polski syndrom. Mianowicie w tekście finalnym autor – nie wiem jakiej narodowości, bo pisze po białorusku a jest przypisany do uczelni mińskiej – porównuje kreacyjne standardy książkowych okładek w Polsce i (po rozpadzie ZSRR) na Białorusi. Jest zdania, że polskie praktyki, wolne teraz od nakazów i zakazów, a dopuszczające na okładkach informacje o autorze oraz komentarze reklamowe, są dla promocji oraz dla obiegu książek o wiele pożyteczniejsze niż te, które przetrwały z czasów sowieckich. Jak właśnie na Białorusi, gdzie 2. i 3. strona okładki pozostaje pusta, zatem nie służy niczemu.

Są w tym tomie sygnały z funkcjonowania bieżącego edytorstwa prowincjonalnego. Oto w Grodnie wydaje się rocznie 118 książek i broszur, głównie autorów lokalnych, z tego 32% po białorusku. Czyli nadal dominuje w piśmiennictwie język rosyjski. Wydawca zapewnia opracowanie przededytorskie, usługi poligraficzne, a potem jeszcze reklamę.

Z kolei w Saratowie – to w Rosji i zupełnie inna skala wielkościowa – po zmianach funkcjonowało 90 wydawnictw. W pomieszeniu, bo państwowe, miejskie, uczelniane oraz prywatne, razem produkując rocznie ok. 7 mln egzemplarzy książek. Był nawet taki okres, że drukarnie tamtejsze nie przyjmowały zleceń, jeśli nakład miał być niższy aniżeli 3000 egz. Z czasem powołano tam regionalną izbę wydawniczą, ale w tekście nie wyjaśnia się po co, ani z jakim rezultatem.

Wyartykułowano opinię, że autonomiczną specjalnością wydawniczą jest edytorstwo naukowe i z tego powodu w trakcie studiów w Katedrze wymaga odmiennego przygotowania. W tekście jest sugestia, że do tej autonomicznej odrębności należy szczególna dbałość o logikę przekazu – co wydaje mi się twierdzeniem dziwnym, bo wszak musi obowiązywać zawsze – oraz silne powiązanie z praktyką, do osiągnięcia przez współpracę autora (autorów) z redaktorem (z redaktorami). No i tego, ogólnie biorąc, trzeba na studiach nauczyć.

Całkowicie zaskakujący natomiast jest tekst, traktujący o mechanicznej translacji. Inicjowanej pierwotnie z rosyjskiego na angielski jeszcze w 1946 i w 1956 r., ale wtedy dosłownej, a teraz już nie. Obecnie do przekładów online stosuje się analizy statystyczne, w ramach Google Translate. To zresztą nadal jest oddanie

jednej mowy naturalnej przez inną mowę naturalną, tyle że teraz z pomocą komputera. To jest wsparcie – ale jeszcze nie zastępstwo! – zawodowego tłumacza. No dobrze, ale co ten tekst tutaj robi? W równie gigantycznej odległości od głównej tematyki tomu oraz konferencji pozostają referaty na temat uniwersyteckiej edukacji w aktualnych okolicznościach digitalnych. Nie bez racji eksponujące zresztą potrzebę interaktywności, współpracy i aktywnego współuczestnictwa, więc także studenckiej (odbiorczej) refleksji. Uzupełnienie to e-learning, z wykorzystaniem internetu. Do zastosowania w dowolnym miejscu i czasie, na zasadzie autoedukacji ustawicznej (czy ktoś jeszcze pamięta takie hasło?), z dostosowaniem do zakresu osoby uczącej się. To zapewne prawda. Ale powtórzę: co to tu robi? Tym bardziej, że nie ma w tych wypowiedziach niczego, o czym wielokrotnie nie było już mowy wcześniej. Według tej reguły, to można jeszcze dopisać, że teraz ogrzewanie pomieszczeń wygląda inaczej niż w czasach, kiedy ja studiowałem.

W tych okolicznościach łatwiej zainteresować się doniesieniami o kształceniu w samej Katedrze, która ten tom i tę konferencję zainspirowała, przynajmniej w ujęciu merytorycznym. Jednym z głównych zakresów opisywanych jest ćwiczenie w redakcyjnym przygotowaniu edycji książki, a polega to na rozpracowaniu fragmentów tekstu z punktu widzenia logiki, a także na sporządzaniu rejestru błędów.

Ma też miejsce wprowadzanie studentów do współczesnych technik poligraficznych i to jest kształcenie głównie inżynierskie, z naciskiem na wiedzę matematyczną oraz fizyczną. Kierunek drugi eksponuje opracowanie informacji w trybie digitalnym. Na połączenie obu specjalności nie zgodziły się władze Wydziału. W obecnym wymiarze studia trwają 4,5 roku.

Jest opinia, że przedsięwzięcia poligraficzne wymagają stosunkowo dużej samodzielności. Żeby absolwentów do tego wdrożyć, zapewniono zajęcia praktyczne w kombinacji poligraficznej, powiązane ze wszystkimi fazami oraz okolicznościami procesu edytorskiego. I jest opinia (organizatorów), że to zdaje egzamin. Referenci twierdzą, że to efektywny sposób wdrażania przyszłych zawodowców do zróżnicowanych aspektów wykonawczych w poligrafii, a także – nierzadko – okazja do zaoferowania im stanowisk pracy. To akurat brzmi, w sumie, dosyć racjonalnie. Ale ani konferencja, ani tom, nie miały być detalicznym i banalnym opisem Katedralnej codzienności. Tymczasem poza tym niczego ciekawego i sensownego tam nie ma.

W Katedrze obroniono 342 rozprawy dyplomowe (dzisiaj już zapewne więcej), więc dużo. Wybrane zakresy tematyczne: koncepcje produkcji wydawniczej, edytorstwo książek, edytorstwo czasopism, reklama, materiały multimedialne. Opinie o jakości tych rozpraw nie są jednolite. Jest sygnał, że ich poziom był wysoki. Ale nie brak też narzekania na błędy merytoryczne, logiczne, oraz językowe. Więc zapewne jest i bywało rozmaicie.

Natomiast w tym tomie większość wystąpień nie reprezentuje jakości choćby godziwej. A jest ich bardzo dużo. Dlatego uważam ten produkt za nieporozumienie.

Nie wystarczy w jakimś kraju oraz w jakimś mieście powołać do życia jakieś przedsięwzięcie i nadać mu nazwę uniwersytetu albo politechniki. Trzeba jesz-

cze, żeby spełniało parametry uczelni, tak pod względem edukacyjnym jak i naukowym. Ja w tym tomie, ani *przez ten tom* tego nie widzę.

Ale poza wszystkim, nie ma żadnego powodu, żeby w podtrzymywaniu błędnych opinii na temat takich instancji-uczelni brały udział godziwe uniwersytety polskie. Niech to wszystko odbywa się bez nas.

Jacek Wojciechowski

Tekst wpłynął do Redakcji 16 lutego 2021 r.